

Mój woreczek żółciowy oszalał. Wytwarza za dużo żółci. Pobudza się i zalewa mnie cierpkim płynem. Jestem pełen żółci. Wszystko we mnie jest cierpkie. Usta, jakby z ciasta, przeżuwiają gorycz. Język jest ciężki, ślina gęsta. Widzę, jak tonę w kadzi wypełnionej żółcią. Zanurzam się w niej, popychany przez obce ręce. Głowa wypełnia się zielonkawym śluzem. Nozdrza są zatkane, próbuję kichnąć. Staram się wyrzucić wszystko, co mnie zatyka, ale mięśnie są zbyt napięte. Stawy zeszywniały, jakby je ktoś związał, żeby nie mogły się ruszać i stały się bezużyteczne. Ręce mam zwinięte, a palce przypominają haczyki. Czuję, jak ciecz wzbiera we mnie i opada. Boli mnie skóra. Przez chwilę myślę, że żółć zakrzepła, jest jak drut kolczasty, który krąży w moim żołądku i go szarpie.

Ból daje mi dziwną jasność umysłu. Cierpię, ale wiem, co zrobić, żeby przerwać ten koszmar. Muszę zwymiotować, oczyścić się z żółci, która zaatakowała wszystkie narządy. Powinienem podnieść rękę do

ust, nacisnąć język i wszystko wyrzucić. Kiedy jest się zdrowym, to dziecinnie proste zadanie. Ale gdy ciało zeszytywniało z bólu, najmniejsze poruszenie staje się wyzwaniem. Siedzę, plecami i głową oparty o ścianę. Prawa ręka znieruchomiała. Jest przyklejona do ściany, jakby wisiała na hakach. Trzeba ją powoli odkleić i nieznacznie podnieść do ust. Łatwo powiedzieć, niezwykle trudno zrobić. Koncentruję się tylko na ręce. Całe moje ciało spoczywa w ręce. Jestem ręką, która siedzi na ziemi, i ze wszystkich sił staram się podnieść. Wpatruję się w nią i udaje mi się zapomnieć o cierpkim smaku w ustach, mniej nawet czuję ból w stawach. Dociera do mnie echo bólu. Czuję, jak się oddala, ale nie znika. Pochylam głowę, by zbliżyć ją do ręki. Żółć podchodzi mi do gardła, mam wrażenie, że się duszę. Wykonuję gwałtowny ruch i uderzam głową o ścianę. Opuszczam lekko głowę i zmieniam taktykę: ręka pójdzie do ust, nie odwrotnie. Operacja trwa długie godziny. Druga ręka służy mi za podporę. Cały się pocę. Krople potu padają na rękę. Przede wszystkim nie ruszać się ani nie myśleć o niczym innym, niż o podnoszeniu ręki. Wyobrażam sobie, że z dachu zjeżdża maleńki dźwig, chwyta rękę i podnosi ją precyzyjnie do ust. Patrząc na sufit, niczego tam nie ma. W ciemności nie mogę widzieć, ale udaje mi się przynajmniej odgadywać kształt przedmiotów.

Czas jest pozbawiony sensu. Mam wrażenie, że rozciąga się, żeby paraliżować ramiona i ręce. Kiedy po wielu godzinach udaje mi się włożyć rękę do ust, na chwilę zamieram i rozkoszuję się małym zwycięstwem. Potem naciskam język, ale żółć nie wypływa od razu.

Gdy pierwszy bryzg zalewa ręce, nogi i ziemię, drzę i czuję ulgę. Naciskam ponownie i wymiotuję jeszcze gwałtowniej. Byłem źródłem żółci. Mam podrażnione gardło, wytrzeszczone oczy, a po policzkach płyną mi łzy. Nie ma już we mnie trucizny, która paliła przełyk.

Lekki i wyglodniały, przygotowuję się do osiągnięcia ekstazy, stanu, w którym nic mnie nie zatrzymuje, w którym nie zachowuję więzi z istotami żywymi ani przedmiotami. Oddalam się od wszystkiego, od siebie i od innych, którzy nawet nie wiedzą, jakie przeszedłem męczarnie. Wstępuję na wzgórze cudownej samotności, gdzie może mnie dosięgnąć tylko powiew bryzy. W końcu doznaję olśnienia, po którym nastąpi wielkie zmęczenie. Jestem niedostępny. Lecę jak szczęśliwy ptak. Nie oddalam się zbyt daleko od miejsca, w którym zostawiłem ciało; boję się, że je zaborą i pogrzebią. Rzeczywiście, ciało oddycha powoli i wygląda, jakby było martwe lub pogrążone w śpiączce.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że w mojej celi cuchnie, wiedziałem już, że powróciłem do ciała. Stan łaski minął. Musiałem na nowo zmierzyć się z codziennymi trudnościami. Podniosłem się i wylałem na ziemię resztę wody. Tej nocy spałem na stojąco. Ziąb podchodził od stóp aż do głowy. Nie spieszył się, zatrzymywał się dłużej na wysokości brzucha, odkładał tam trochę swojej nienawiści i pogardy. Miał twarz i ręce, a raczej kleszcze. Szczypał mnie w jądra. Zwijalem się z bólu. Przesuwał się wzdłuż całego ciała, wprawiając je w dygot. Stopami ugniatałem mokną ziemię. Nie mogłem dać za wygraną.



KARAKTER

Tahar Ben Jelloun, *To oślepiające, nieobecne światło*

Przełożyła Małgorzata Szczurek

Premiera: jesień 2008

www.karakter.pl